



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

ŻYCIE I PRACA.

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

Głosiliśmy ewangelią pracy, z kolei powinna przyjść ewangelią odpoczynku. — Bez pracy nie ma odpoczynku... stało się przysłowiem w ustach ludu, ale są tacy, którzy pracują zawiele, tak wiele, że ich trud pracowity zamienia się w pańszczyzną nawyknięcia i nie są już potem zdolni używać słodczy odpoczynku. Ludzie, których życie całe pochłania jedna praca ciągła, nie mogą się podnieść do wyższych, szlachetniejszych przywilejów natury człowieka. Jedni poświęcają się na taką pracę z myślą, iż odpoczną kiedyś, gdy zbiorą dość mienia na używanie tego odpoczynku spokojnie, skoro przecież chwila owa przyjdzie — spostrzegają, że nie umieją już jej używać, że nie umieją znaleźć przyjemności żadnej poza pracą. Ich zamki na lodzie nikną wtedy, lecz jest już dla nich zapóźno, aby wznosić nowe, bo umysł ich skarłał i okulał przez ucisk pracy przymusowej, i nie są zdolni do urozmaiconego zajęcia umysłu. Ich wolna wola została spletała, ich umysł urobił się mechanicznie do działalności w jednym tylko, często niskim, poziomym kierunku, i nie istnieje już dla nich święto żadne, bo świętowanie, do którego się zmuszają, nie przynosi już im rozkoszy.

Praca nie jest wtedy błogosławieństwem, skoro tylko staje się jarzmem na karku, bo jarzmo nie dopuszcza szczęścia, nie rozwija piękności charakteru, a nawet przeciwnie —

przez nacisk sprawiany doprowadza go do zaciśnięcia się i poniża.

Praca nie jest ani jedynym, ani ostatnim celem ludzkości: wzięta sama w sobie nie jest tym celem, na którym już się wszystko kończy, ani też nie jest dla człowieka najwyższym dobrem ziemskim, lecz tylko środkiem do dobra. Jest to niemniej rzecz wagi wielkiej, gdy przez pracę człowiek staje się niezawisłym, niezależnym od nikogo i niczego — jest to rzecz wagi ogromnej, gdy sam może zarobić na siebie, gdy owocami uczciwej pracy spłaca wszystkie długi powinności życia. Przytem żadna praca nie jest nigdy rzeczą nędzną, ale nędznym staje się wtedy żywot nasz, jeżeli zarobiwszy dukata, próżnujemy potem tak długo, aż dopóki starczy nam złotych na codzienne życia opędzanie. Balzac dobrze nauczał takich, twierdząc, że tysiącem centnarów rozkoszy, zdobytych wśród przyjemności towarzyskich, nie zapłacimy przecież długów naszych, gdy nadejdzie koniec miesiąca i dlatego należy nam pracować! pracować! pracować przedewszystkiem!

W znoju, czy czoła, czy mózgu, żać nam trzeba żniwo nasze, bo jakkolwiek bogactwo rozkłada nieraz pierwiastki moralności i zatwardza serca, ubóstwo często też łamie ducha, często odbiera odwagę — poduszkę pod głową naszą wypełnia cierniami i nierzadko utrudnia drogę uczciwości, cnoty, dostojności szlachetnej.

Trzeba zatem znaleźć odpowiednią miarę dla wszystkiego i stosować ją we wszystkim. Praca jest rzeczą dobrą i zaszczytną, nietyle przez samą siebie, ile przez wyższe, złączone z nią korzyści — przez wykształcanie umysłu, przez rozwój sił i szlachetniejszych potęg ducha, przez zapewnienie należnych człowiekowi przyjemności i darów życia. Historia pokazuje, że najdoskonalszych dzieł w zakresie literatury i sztuki dokonali ludzie, zajęci drugostronnie pospolitą pracą zawodową, bo tylko zbytek takiej pracy,

spełnianej pod przymusem ciężkiej konieczności, jest zgubnym dla szczęścia i pogodnie jasnego istnienia na świecie. Bacon mówił też dobrze: — Temu, który jest mądrym, pozwólmy iść za tem, lub owem jego życzeniem; bo jeżeli nie będzie miał czegoś, coby ukochał osobiście, wszystko stanie się dlań wstrętnem i żmudnem.

Tęsamą myśl powtórzył on innemi słowy: — Najczynniejszy, najbardziej zajęty człowiek, jak i kiedy żył, lub żyć będzie na ziemi, może mieć coś chwil wolnych, należących wyłącznie do niego, a które stanowiłyby granicę między pracą już skończoną i mającą się rozpocząć, chyba, że to jest nudziarz powolny, pośpieszyć się nieumiejący, albo człowiek lekkomyślny, czy też ubiegający się o to niepotrzebnie, aby robił sam to, co inni zrobiliby nie gorzej od niego.

Rozmaitość ma w pracy znaczenie wielkie. Należy nam pracować stale i usilnie nad jakimś jednym obranym przedmiotem, ale należy też od czasu do czasu wytechnąć sobie i urozmaicić zajęcie. Jest to jedynie dobra droga pracy z miłym wśród niej odpoczynkiem, która nie odbiera nam wdzięku życia i nie kosi jego kwiatu. Jedynie w ten sposób może się używać chwil życia świętecznych, jedynie w ten sposób zapewnia się ruch potrzebny wszystkim władzom umysłu, które inaczej pozostają w nas spowite i zapuszczone — w ten sposób praca przez rozmaitość swoją staje się dla nas źródłem przyjemności i tak nabiera aromatu wesołego używania, że życie całe zdaje się jest jednym, nieustającym świętem. A jest też niemało dróg niegrzesznego, pożytecznego zajęcia swobodnych godzin czasu. Natura otwiera nam nieprzebrane nigdy zapasy uroków swoich: możemy śledzić i badać jej bogatą rozmaitość, podpatrywać jej drogi działania wdzierać się w jej tajemnice. Świat zwierzęcy, roślinny, mineralny stoją szeroko otwarte dla naukowej ciekawości naszej, a miłośnikowi czytania literatura przedstawia skarby niewy-

czepane. Są starożytne i nowożytne dzieje ludzkości, ilustrujące nam najlepsze metody kierowania, kształcenia, uszlachetniania człowieka: jest poezja, są biografie wielkich myślicieli, wielkich bohaterów — dramata pełne porywającego zajęcia!

Największy włoski sztukmistrz i największy włoski poeta mieniali wzajemnie sztuki swoje. Michał Anioł odkładał pędzel, aby pisać sonety; Dante kładł pióro i chwycił ołówek — rysował. Było to dla nich zabawą po pracy — świętowaniem i odpoczynkiem dla umysłu. Michał Anioł podobnie jak i Leonardo da Vinci uprawiali prawie wszystkie gałęzie sztuki i doszli do wielkości, tak w malarstwie, rzeźbie, jak w budownictwie, byli zarazem znakomitymi inżynierami.

Pracując umysłem, pragną fizycznego ruchu, gimnastyki członków na świeżym powietrzu. Pociąga ich przestrzeń otwarta — natura i pożądają zajęć, które ich do niej zbliżają. Smiles podaje też wielką liczbę rozmaitych wyższych ludzi między Anglikami, oddających się z zamiłowaniem rybołówstwu i używających rozkosznego wczasu wśród uroków przyrody. Dalton chętnie przesiadywał wśród zielonych zagajen i wesoło mawiał przyjaciółom, że lubi robić sobie ze Środy Niedzielę; Walter Scott sam sadził drzewa w ukochanej swej posiadłości Abbotsford; Shelley przesiadywał nad wodą — nad Tamizą, lub małą rzeczką Serpentina, puszczając na fale papierowe łodzie i patrzal na grę wody — patrzal, jak płyną, raz przez nurt łagodnie niesione, to znów porywane jego siłą dziką. Dickens chodził dużo i lubiał się puszczać na dalekie przechadzki, podobnie jak Southey, który mocno żałował, że za lat młodych nie uczył się botaniki, i Wordsworth, w którego poezjach maluje się głębokie ukochanie natury. Poezye swoje pisywał też prawie zawsze na dworze: kędyś w lesie, kędyś wśród pola, i gdy raz ktoś z nieznanym jego wielbicielu, nie zastawszy go w domu, chciał chociaż widzieć jego pracownię, służący zaprowadził go do biblioteki.

— To jest biblioteka mego pana, ale pisuje on zawsze pod gołym niebem — rzekł.

Dotąd pokazują ogrody Petrarki w dolinie Vaucluze i naturalną grotę, która do nich przytyka i o której poeta wspomina w listach, a którą rozszerzał i upiększał własnymi rękami. Smiles podaje też szereg przykładów, jak zwrócenie się do natury otwiera ludziom niezmiernie pole i wiadomości do zdobycia, i zajęć, darzących niewyczerpanymi rozkoszami, które pociągają tak potężnie, że często ten, co ich zakosztował, już się odebrać od nich nie może i poświęca im się cały. Angielski botanik, Sowerby, był w młodości malarzem. Malował krajobrazy, a chcąc oddawać je wiernie zaczął studiować świat roślinny i tak silnym zajęciem przywiązał myśl do niego, że zmienił zawód, poświęcając sławę, którą już zaczął zdobywać. Poeta Cowley w dziele swoim o samotności: „Essay on Solitude“ pisze też: — Żadne zdanie ludzkie tak mnie nie razi, jak kiedy słyszę, że ktoś nie wie, co czynić z czasem? Żle by to brzmiało w ustach Matuzale w jego dziewięćsetnym sześćdziesiątym dziewiątym roku, a cóż dopiero my, którym tak daleko jest do jakiegokolwiek doskonałości w naukach, w umiejętnościach, czyż możemy się skarżyć, że nie mamy co robić i próżnujemy dlatego? Żaden pierwszy minister państwa nie ma tyle do roboty, co każdy rozumny człowiek w zwyczajnym życiu. Jeżeli tamten ma na głowie sprawę całego narodu, to ten ma do rozważania wszystkie dzieła Boga i natury.

Jak praca rozwija zdolności umysłu, jak rozbudza pragnienie coraz wyższej wiedzy i prowadzi z jednego jej stopnia na drugi, stawia Smiles jako przykład Izaaka Barrow, mistrza Newtona. W dzieciństwie był on bardzo tępym — tak tępym, że ojciec niemal życzył mu śmierci, przecież odany do szkoły, tak pracował i kuł twarde dla niego skałę nauki, że zyskiwał sobie zawsze celujące stopnie za pilność i staranność okazywaną. Będąc młodzieńcem, postanowił kształcić się na lekarza i wskutek tego począł studiować anatomię i fizjologię, żeby przecież otworzyć sobie

przystęp do uniwersytetu, musiał, według praw ówczesnych, uczyć się teologii, a to doprowadziło go przy nauce historii Kościoła, do chęci studiowania astronomii, co znów pociągnęło za sobą konieczne następstwa poznania wyższej matematyki, w której doszedł bardzo wysoko, lecz umysł coraz więcej zaciekawiany, zapragnął dokładniejszych wiadomości historycznych o przodownikach w nauce świata — o Grekach i Rzymie i nabył przytem takiej znajomości świata starożytnego i klasyków, że chciano mu dać katedrę grecką; że przecież był przez polityczne swe przekonania rojalistą, nie mógł jej otrzymać pod rządem Kromwella i aby zająć się pożytecznie, postanowił podróżować. Przez Francję udał się do Włoch, ztamtąd do Konstantynopola i Smyrny. U Złotego Rogu w 1675 r. okręt jego został napadnięty przez algierskich rozbójników morskich; z którymi śmiało i dzielnie walczył, jakkolwiek nie był do tego obowiązany. Jako podróżny mógł na dolnym pokładzie szukać bezpiecznego schronienia, ale nie uważał tego za rzecz godziwą, aby poddawać się bez walki i odpowiedział, że należało to do niego tak, jak do każdego, i że lepiej jest stracić życie, niż popaść w niewolę niewiernych okrutników.

Po przywróceniu monarchii wrócił go ojczyzny, został professorem greczyzny na uniwersytecie w Cambridge, potem geometrii, potem matematyki i astronomii i tę-to katedrę odstąpił z czasem wielce miłemu sobie uczniowi — Newtonowi. Umarł stosunkowo młodo, bo w czterdziestym siódmym roku życia, zostawił przecież ogromną liczbę dzieł matematycznych i geometrycznych, obok kazań, które są, jak wyraża się Smiles, składami myśli, pełnych doświadczenia i dojrzałej obserwacji praktycznego, życia i w których dał ludziom, obok nauczania religijności, znaczenia modlitwy, prawdy i prostoty, całą zdrową lekcję pracowitości.

Napisał pięć głęboko opracowanych traktatów w tym przedmiocie: dwa o pracowitości wogóle, jeden o pracowitości chrześcijańskiej, jeden o pracowitości naukowej, jeden o pracowitości ludzi szlachetnych. — „Zdobycie wiedzy — pisał — tak, jak praktyka najwyższych cnot życia: nadziei, wstrzeźliwości, cierpliwości, zadowolenia z siebie, wymaga pracy — wymaga wysiłków. Jeżeli przebywanie dróg nieutorowanych, jeżeli pięcie się pod górę, jeżeli zapasy ze srogim nieprzyjacielem i walki z nim ciężkie, jeżeli krzyżowanie drogi namiętnościom i porywom natury, jeżeli nieustanne trzymanie w mocnych karbach wszystkich stron naszej istoty, wszystkich sił naszych jest pracą — praca jest tedy praktykowaniem cnoty.“

„Pracowitość dowodzi szlachetnej i bystrej komplexyi ducha i świadczy o umyśle, który nie może się zadowolić pospolitemi skąpo mu wydzielonemi środkami istnienia i pragnąc posiadania wartości wyższych, dąży do nich mężnie, z odwagą zuchwałą i o własnej sile, przebijając się przez przeszkody i trudności spotykane.“

„Świadczy to o sercu dumnem, przez które człowiek nie może znieść, aby utrzymanie życia, jego wygody zawdzięczał pracy i hojności innych — aby kradł ludzkości to, o czem żyje, aby zbierał korzyści trudu i znoju innych, nie zwracając im tego pełną dłonią, nie wypłacając się z zaciągniętych w ten sposób osobistych długów, przez służby swe i prace dla ogółu.“

„Szlachetny człowiek gardzi istnieniem trutnia, karmiącego się miodem, którego nie uezbierał; wołka, który spożywa ziarno publicznego spichlerza, morskiego żarłoka, hai; która łyka rybki drobne. Nie... on sam sobie zarabia na pożywienie, sam je sobie szuka, na tej lub owej drodze znajduje.“

„Pracowitość słodzi też życie ludzkie i każdemu jego używaniu dodaje smaku przez uczucie lekkiego serca w piersi, które uciska zawsze ciężko uczucie niedokonanej pracy, niewypełnionego obowiązku, zostawionego poza sobą. Tylko wtedy, kiedy człowiek użył najlepszych swoich sił dla załatwienia się z pracą, może rozkosznie używać wczasu, może jeść chleb swój ze smakiem, a odpoczynek i rozrywka przy nim są mu miłymi, tak, jak sen jego mocny jest i zdrowy, według

słów Eklezjasty: — Słodkim jest sen człowieka pracującego.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na zwaliskach zamku w Kazimierzu.

Wszedłem na wzgórze gdzie prastara wieża
Zębom się czasu opiera wytrwale;
Objąłem wzrokiem stary gród Kazimierza
I szarej Wisły ogarnąłem fale

O grodzieł święty przybytku przeszłości —
Pleśń dawnych wieków na murach twych gości.
Takim dziś jesteś, jak byłeś przed laty:
Na starych grobach świeże rosną kwiaty.

Twoje świątynie, gmachów twoich ściany
Świadczą o zmarłej przeszłości budowie;
A mrok ich rzewną tęsknotą owiany,
Niejedno smutne uczucie nam wypowie.

Na stare mury zwróciłem twarz bladą...
Tu kamień leży... Ze czią usta moje
Na zimnym głazie pocałunek kładą:
Może też ojców płynęły tam zdroje...

Smutno! choć zielen na mogiłach rośnie,
I cieniem groby przytula miłośnie...
Kiedy wesołe słyszę ptaszak pieśni,
W sercu mem jeszcze smutniej i boleśniej!...

Antoni Pilecki.

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg.)

— Dlaczego on się stał graczem? Nie mając w piersiach nikczemnej chciwości złota, nie łaknąc go dla zbytku, dla używania, dlaczego rozbudził w sobie tę nędzną namiętność? Wzruszenia... O! nie było w nim powagi, siły charakteru ojcowskiego, aby mógł ostać się w życiu o spokojnej, uczciwej pracy i potrzebował ukojenia... haczysz... Może w innych czasach — w czasach oratorów, rycerzy...? Ale nie! był słabą, nerwową, niemęską naturą, którą sam gardził — był w mocy szatana, który niweczył w nim jednym swym podmuchem najświętsze postanowienia i pchał do zguby...

Widział się nędzarzem moralnym i zaczął żałować, że nie umarł wcześniej, wtedy, kiedy był młodym chłopcem, który tu, w tym samym pokoju, śnił o przyszłości swojej sny szlachetne i wysokie. Oczy jego, rozglądające się dokoła ze smutnem rozżaleniem, padły na fortepian, stojący pod ścianą — piękny, doskonały instrument, sprostowany tu także przez matkę, gdy nauczyciele ogłaszali w nim wielki talent. Może i był, jak było w nim wiele rzeczy, które zatracił, zmarnował i uczuł nagle niewypowiedzianą tęsknotę do położenia rąk na klawiszach, któreby mu odpowiedziały tonami, płaczącemi w jego piersi. Ani pomyślał, że go ktoś słyszeć i słuchać może; gość, o którym mu doniósł Jakub, był dla niego, zwłaszcza w tej chwili, osobą tak obojętną, że wiadomość usłyszaną puścił mimo uszu i tak o niej zapominał, jak nie pamiętał o wszystkim innym,

co mogło dziać się kędyś na świecie. Z tklwym zwrotem myśli na swoją piękną wiosnę życia, otworzył fortepian i bez żadnej naprzód powziętej myśli zaczął grać Marsz Żałobny Szopena.

Szopen był najmilszym jego mistrzem: uczuciowość i razem słabość, miękkość natury Stanisława, kazała mu go ukochać, najpierw przez tęsknoty jego poetycznej natury młodej, potem przez żal i smutki upadków, które targwały mu serce wyrzutami i gniołty upokorzeniem. Wszystko to było w nim teraz spotęgowane i palce jego uderzały jakgdyby w serce własne—odpowiadały mu też głosy jakgdyby własnego serca...

Wtem ktoś zapukał do drzwi, które otworzyły się prawie zaraz i na progu stanęła wysoka, chuda postać w granatowej czamarcie: stary kapitan Wolski, uśmiechający się do zmieszanego i wstającego od fortepianu młodzieńca, poczciwym, życzliwym uśmiechem. — A, Stasiu kochany, jak ty grasz... jak grasz... aż serca się rwą, nawet takie stare, jak moje—rzekł, kładąc mu poufale rękę na ramieniu.—Zajrzałeś przecież do nas, ale ojciec powiada, żeś pono chory... A pobladłeś trochę, zeszczipłaś...

Stanisław tłómaczył się niespaną nocą, pilną robotą, jaką miał w ostatnich dniach przed wyjazdem, ale stary głową kręcił.—Po co tobie to miasto? Wierz staremu, że wśród swoich kątów najlepiej, najzdrowiej, a nawet powiem—najbezpieczniej. Ja, com się natulał dość po świecie—ja to wiem...

Kapitan ten, pono węgierski i bogdaj czy nie instruktor u Turków, mógł tu mieć rzeczywistość prawo głosu i rady. Próbuąc szczęścia Bóg wie gdzie, grzejąc się Bóg wie u jakich ognisk nadziei, wrócił już po opadłym kwiecie młodości w strony rodzinne, gdzie miał siostrę zamężną, a u niej schedkę niewielką, ze spadku po rodzicach mu przypadającą. Postanowił wziąć za nią dzierżawę i odświeżając wspomnienia młodości gospodarować na niej, ale zanim się znalazła, i świętojański termin jej objęcia przyszedł, sąsiedzi ożenili go z młodą, poczciwą dziewczyną, która miała serce, uważające sobie za obowiązek pokochać go, i wioseczkę zaciszną, właśnie o miedzę od Starej Wsi. Ale bardzo niedługo potem, niespełna w rok, został wdowcem; córkę sierotę, z której wychowaniem nie byłby wiedział jak sobie radzić, zabrała zaraz jego siostra, z mamką jeszcze. Teraz przecież była to już panna dorosła, blisko dwudziestoletnia i o niej to mówił Jakób, że z kapitanem przyjechał ktoś, wart widzenia...

Ale Stanisław, który jej wcale nie znał, nie uważał nawet na te słowa. Owa ciotka, u której się chowała do samej dorosłości, mieszkała po drugiej stronie Radomia, już gdzieś ku Świętokrzyskim Góróm, ojciec jeździł tylko do córki, ale ona nigdy do niego nie przybywała i Stanisław, nie widząc jej nigdy, tylko czasem o niej słyszał. Mówiono, że jest z niej dobra i ładna dziewczyna; ojciec Jadwisię swoją pod niebiosa wynosił, ale na tem kończyło się wszystko, co o niej wiedział. Życie jego poszło inną drogą, zerwała się nie tradycyjna łącząca go z rodzinami stronami; że zaś matka jego już nie żyła, gdy tu z zagranicy powrócił, że dom ojca wdowca nie mógł już być ogniskiem towarzyskiego życia, a on sam odpoczywał tylko i leczył w sobie starego człowieka, z którym chciał się na zawsze rozstać, więc się z jedynaczką kapitana nigdzie nie spotkał, zwłaszcza że bardzo niedługo po jego przybyciu do domu, pojechała najpierw do słabej ciotki, która już swoje dwie córki za mąż wydawszy, ją pragnęła teraz mieć wciąż przy sobie, a potem z tą ciotką gdzieś do wód.

Zmienił się zatem, jak nieraz bywa: ludzie mogą być tuż koło siebie a jednak tak się złożyć, że się nie zobaczą, że jedno pójdzie na prawo, a drugie nalewo—jedno górą a drugie doliną, i zminą się ze szczęściem!

Ale kapitan chciał teraz koniecznie, aby się poznali. Natura to była serdeczna na nasz dawny sposób i nie popuścił póty Stanisława, aż go ze sobą na dół sprowadził. O smutnych stosunkach ojca z synem całej prawdy nie wiedział. Ponieważ po powrocie z zagranicy Stanisław w domu nie zo-

stał, już to dało sąsiadom pole douwag i komentarzy. Pana Andrzeja szanowali wszyscy bardzo wysoko, ale nie wszyscy go lubili: uważali, że przesadza w pracy, że w stosunkach z ludem trzyma się jakichś książkowych ideałów, że wreszcie jest na swój majątek za skąpy i jako dowód przytaczali, że syn jednak wytrzymać z nim nie może. Doszło tu coś wieści, że Stanisław chce w Warszawie trochę ojcowskich kapitałów przewietrzyć, ale uśmiechano się na to jedynie, jak na coś zasłużonego. Dramatu ostatnich wypadków nikt nie znał, nikt nie podejrzewał i kapitan ani się domyślał, czego od Stanisława żąda, ściągając go na dół.—Cóż u licha—mówił—czyż to wielka rzecz, żeś jednej nocy się spał. Jesteś chłopak ładny i zgoła na cherlaka nie wyglądasz. Zbladłeś wprawdzie trochę i schudłeś, ale to dlatego, że w papierach siedzisz. Rzuć to, na wsi osiądź, ojcu pomagaj, albo niech ci jeden folwark całkiem już odda, a zobaczysz, jak wyzdrowiejesz...

— No, zbieraj się i chodź, chcę aby cię Jadwisia poznała i ty ją. Niesłychana rzecz, aby się tacy bliscy sąsiedzi nie znali, zwłaszcza, że twój ojciec bardzo moją dziewczynę lubi. Z jednej szkoły są, a kiedy to mówię, to moją Jadwisię przez to chwalebę, bo twój ojciec to—wzór!... To, co my marzyli romantycznie, w sukmany się strojąc, on w czyn wprowadza. Gdyby byli wszyscy tacy... gdyby była takich choć połowa!...

— Ale co to mówić... Dużo wody upłynię nim się ta rzecz stanie, tylko ci dodaję, że Jadwisia moja to drugi tom twego ojca Kochane to dziecko jest, a za muzyką to już przepada. Kiedy cię usłyszała, stanęła cichutko i słuchała, słuchała, a potem powiedziała twemu ojcu, że musisz mieć duszę artysty i poety, skoro tak grać możesz. I mnie samego za serce schwyciłeś... Pamiętam jak raz w Paryżu grali tego marsza w kościele i tyś mi to przypomniał... Ale chodź, nie marudź.

Jakób podał panu suknie i kapitan uprowadził Stanisława, który teraz już mu się nie opierał. Ta Jadwisia, która wywnioskowała z jego gry, że ma duszę poety i artysty, zainteresowała go trochę. Był smutny, ale się już nie wdrygał na myśl, że musi rozmawiać z ludźmi: o rzeczach obojętnych, gdy ma serce w piersiach tak ściśnięte. Mimo wszystkiego co zaszło w jego losie, nie może przecież odwrócić się od całego świata i uciekać od wszystkich.

Z ojcem łatwiej mu będzie przepędzić dzień dzisiejszy przy ludziach. Znał obyczaje wiejskie, wiedział, że kapitan nie odjedzie aż wieczorem: a wtedy powie ojcu krótkie dobranoc i odchodząc na górę doda, że musi jechać jutro rano. Choć czuł, że może zasłużył na karę, ale niemniej była ona ciężką i wyrabiała mu położenie okrutne, które miał prawo czynić oile można najmniej bolesnem.

Kapitan powiódł go do ogrodu, który był stary, cienisty i obszerny. Z głównego, w środku domu umieszczonego salonu, prowadziły do niego drzwi szklane, wychodzące na obszerny ganek, oparty na białych słupach, w koło których wił się bluszcz, którego ciemne, połyskujące liście wydawały się jak z akantu. Płocienna markiza przysłała ganek, teraz przecież podniesiona, tworzyła nad nim baldachim tylko, bo słońce nie biło tu w tej chwili. Świeciło z boku i złociło tylko smugami długimi klomby rozrzucone wśród trawnika przed gankiem, na których spoczywał świeży wdziek i urok wiosenny.

Młody maj uśmiechał się do człowieka z każdego kwiata, z każdego drzewa i krzewu a mnóstwo motyli unosiło się w powietrzu. Wschody od górnego piętra wychodziły wprost naprzeciw głównych drzwi wiodących na podwórze; kapitan wyszedł niemi i prowadził tu Stanisława, dom wkoło okrążając, i tym sposobem spojrzął on najpierw w ogród, którego nie widział już dawno w pierwszej wiosennej piękności. Czeremchy i kasztany kwitły, a zieloność była świeża i delikatna, zacięcia, które tworzyła, wydawały się jakimiś czarownicami gajami, pełnymi słodkich, i uroczych tajemnic; ale Stanisław ledwo mógł poświęcić temu jedno spojrzenie, które zaraz potem skierowało się ku werandzie, gdzie był jego ojciec z tą nieznaną mu

jeszcze Jadwisią, o której nie miał czasu zrobić sobie żadnego przypuszczalnego wyobrażenia. Pociągało go do niej sympatycznie to, że czuła muzykę i Szopena, a i to jeszcze, że sąd, jaki o nim wydała, był dla niego w taki, a nie inny sposób przychylnym. Dusza jego wylewała z siebie żale, smutki, tęsknoty swe bolesne za tem co stracił, co uronił wśród świata, a ona nazwała to poezją, więc była dobra i liतोściwa. Młoda i niewinna, nie rozumiała żalu, który jest zgryzotą...

— Czy jest ładna? — zapytało w nim zarazem coś—głos jakiś drugi.

Odpowiedź przyszła natychmiast. Między dwoma środkowymi filarami ganku stał jego ojciec i wysoka, wysmukła, ciemnowłosa panna, której jedna ręka, nieco w górę podniesiona, szukała machinalnie bluszczowego liścia. Odziana w prostą, gładką suknię z ciemno-zielonej, miękkiej, matowej welny, rysowała się na tle ganku niezmiernie wdzięcznym kształtem dziewczynym. Włosy, zaczesane gładko nad niskim, jak u kobiet greckich czołem, śnieżycie białem i nie zrównanym kreską żadną, były upięte na tyle głowy w gruby warkocz. Twarz płci przejrzystości delikatnej i ledwo że zarumienionej, jakgdyby odblaskiem jakiejś niewidzialnej zorzy, miała profil też greckiego zarysu. Całość przypominała trochę ojca wybujałym wzrostem i wysmukłością kibici; przecież Stanisławowi zdawało się, że to jest jakieś widzenie, bo nigdy jeszcze nie spotkał w kobiecie takiego pełnego prostoty, wdzięku takiej śliczności harmonijnej i delikatnej.

Ojciec jego coś mówił do niej, a ona, jakgdyby w zamyśleniu, sięgała po liść zielony śliczną małą rączką i on byłby stał cicho i patrzył na nią bez końca, ale kapitan nie dał mu kosztować tej rozkoszy. — Prowadzę pieściocha... — rzekł. Chory wcale nie jest, tylko mu potrzeba wsi, powietrza, życia mężczyzny, a nie gryziółka. Niech-no tu z miesiąc posiedzi, to ja go wlecę...

Panna podniosła oczy i Stanisław zobaczył, że są ciemno-szafirowe, fiołkowe prawie. Gdy spokojne i łagodne spojrzały na niego, Stanisław nie dla formy tylko pochylał się nisko. Była w tej młodej panie jakaś dostojność czystego wdzięku, która nakazywała uszanowanie. Nie zarumieniła się spotkawszy wzrokiem młodzieńca, bo czegoż rumienić-by się miała? Przeciwnie, wyrzało jej z oczu coś zyczliwie przychylnego. — Dziękuję panu za muzykę, jaką mało kiedy słyszeć mogę — rzekła miłym, niskim głosem kontraltowym i podała mu rękę. Był synem człowieka, którego cenila wysoce, a z którym jej ojciec i ona sama zostawała w stosunkach blizkiej zażyłości sąsiedzkiej, więc powinna go była powitać uprzejmie.—Przyjechałeś pan odetchnąć majowym aromatem rodzinnego powietrza i dobrze wybrałeś chwilę — dodała. — Wiesz teraz właśnie jest najśliczniejsza, a tu szczególnie to jak raj.

Wyciągnęła rękę w kierunku starych kasztanów, i Stanisław spojrzął za tą wskazówką, aby uczuć bolesne naciśnięcie krwawiącej mu się w sercu rany. Wiedział on dobrze, jak tu jest pięknie i naraz objął miłosną myślą cały ten obszar cienisty, którego każdy zakątek znał—każdą perspektywę mógłby był malować. Głębiej już, poza kasztanami były lipy stare, które szczególnie lubił, a które kwitnąć wśród gorącego już powietrza letniego, napełniały je wtedy upajającymi balsamami. Zaczął mówić o nich Jadwidge i za wzajemną: choć nie objawioną sobie słowami ugodą zeszedł z ganku posuwając się w ogród. Rozmawiali o naturze i jej urokach, bo ten przedmiot nasunął im zaraz z początku. Stanisław, o którym Jadwiga dobrze za wyrokowała, że miał duszę poety, umiał mówić dobrze w tym przedmiocie, a dziś lepiej, cieplej i żywiej, niż kiedy. Wrażliwy i nerwowy ulegał silnie oddziaływaniom momentu, który przeżywał i uczuć przejmujących mu serce w tej chwili, to też zdawało mu się teraz, że wraz ze Starą Wsią zaprzędał nazawsze wszystkie lasy, pola — wszystkie krajobrazy ojczyste, wydziedziczył się z nich, i że nigdy, nigdy już nie będzie sobie cieszył niemi wzroku. Aż przy jakimś drzewku akacyi,

o której opowiadał Jadwidze, że jest różowo-kwietna, ona wpatrzyła się w niego uważnie. — Dłaczego pan, przy takim umiłowaniu przyrody i wsi, rodzinnego miejsca, wybrałeś sobie zawód, który każe ci zrywać z tem wszystkim? — zapytała go nagle.

On zmieszał się niezmiernie, zarumienił. — Za długo byłem na obczyźnie i odwykłem od wielu rzeczy... — rzekł smutnie. — Nie umiałby gospodarować...

— Tobys się pan nauczył... Wzór masz blisko; ojciec pański jest najszlachetniejszym obywatel — gospodarzem, jakiego znam...

— Ale to nie dość — dodała. — Nie mogłam jeszcze wiele poznać na świecie, ale ojciec pana jest najdoskonalszym w tym kierunku wzorem, jaki sobie wyobrazić umiem... Od niego mógłbyś się pan uczyć i dobrze-bys się nauczył...

Stanisław stał moment milczący. Serce wzburzyło mu się i szarpnęło, napęliło się przenikliwą goryczą. — Zapóźno już dla mnie na naukę — odparł krótko.

Zdołał opanować w głosie cierpkosć, ale nie opanował jej w uczuciu. Obudziła się w nim do ojca zazdrość, dzika prawie. Tak, jak ta piękna panna, sądzić go będą wszyscy ludzie, o których sąd mógłby dbać; oskarżą go, że nie umiał być synem i uczniem swego ojca. Z jednej strony wiedział, że to jest prawda, ale z drugiej przemawiał w nim gorzki głos żalu, że ojciec nie próbował tego tak, jakby mógł — jak może być powinien! Czy potrzeba mu było wyjeżdżać do Warszawy za powrotem z zagranicy? Ojciec postępował z nim twardo, zostawił go własnym siłom, nie liczył się z tem uczuciem dumy może złej, może niewłaściwej, ale która musi niemniej istnieć w sercu człowieka, mającego sobie coś do wyrzucania i czującego, że ludzie wyrzucają mu to niemniej... Ojciec nie był dla niego miłosiernym — był niemilościwym nawet, mimo tego, że nie postąpił z nim, jak niektórzy inni ojcowie w podobnych razach. Nie cofnął mu środków materialnego dobrobytu, ale nie dał jałmużny uczucia.

— Czemu nie powiedział mi: — Daj mi rękę, a poprowadzę cię lepiej, niż ty sam isć możesz?...

On znów zbłądził i teraz stał już odepchnięty nazawsze, a przecież i teraz... teraz właśnie, mógłby się podnieść i stać innym!

Nagle błyskawica myśli postawiła mu przed oczy obraz czarownicy: ta piękna, rozumna szlachetnie czująca i myśląca panna i on — razem idący przez życie...

Oniona w tym starym dworze pradziadowskim! on i ona pracujący na starym ojczystym gruncie...

Wszystko to szczęście, które przez jedno okamgnienie posiadał wyobraźnią, zdawało mu się naraz odebraniem przez surowe niemilośrdzie ojca i razem z tem smutnem, gorzkim uczuciem, urodziła mu się w mózgu myśl szalona.

Ojciec, nie znajdując w nim takiego syna, jak miał może prawo żądać, dlatego tak oddzielił się od niego zupełnie, aby mogło zacząć istnieć nowe poza stosunkami dawnymi. Nie był jeszcze starym; silny tak ciałem, jak duszą, nie wyglądał na starego i mógł się ożenić raz drugi...

Nie byłoby to ani śmieszna, ani skandaliczna rzecz, bo wypadki takie zdarzają się bardzo często, i ta piękna panna, która mówiła o nim, o jego wysokich cnotach z takim zapalem, poszłaby za niego niewątpliwie — poszłaby za niego z tej właśnie przyczyny, że jest entuzjastką...

Stanisław uczuł się wydziedziczonym poraz wtóry — wydziedziczonym ze wszystkiego szczęścia życia!

Wszystkie te myśli przeplęły mu przez umysł w przeciągu minut kilku, których Jadwiga użyła na poprawienie palika przy drzewku różowej akacji. Schylając się dla zrobienia tego, spostrzegła wśród murawy kępkę blade różowych, dzikich stokrotek i urwała ich kilka, potem wyszukała młodych, pięknie pierzastych liści srebrnika, które w Maju są rzeczywiście usrebrzone, i zrobiła z tego bukiet. Ale, gdy go chciała przewiązać jakąś trawką długą, namysliła się inaczej. Rozdzieliła kwiatki na dwie połowy i jedną dała Stanisławowi. — Ładne kwiateczki —

rzekła — lubię je, bo zdobią wdzięcznie jednostajną zieloność murawy i mają w sobie coś słodczy na miód dla pszczół, coś woni, której aromaty oddają powietrzu.

— To jak ludzie skromni i niewysokich obdarowań, którzy wiedzą cicho uczciwe istnienie i pracują w ten sposób na rzecz dobra wszystkich — dodała.

Nie było to wcale powiedziane sentencyjalnie. Zdawało się, że myśli głośno, a mówi dlatego rzeczy dobrze i rozumnie, iż dobrą jest i rozsądną.

Stanisław wziął bukiet, lecz przytrzymał w delikatnym uścisku rękę dającej. — Pozwól mi pani zrobić z tego pamiątkę — rzekł.

Nie powiedział jej: — Kto wie kiedy ja tu będę!... Kto wie czy ja cię już zobaczę kiedy?... ale mówił to sobie i chciał rzeczywiście mieć pamiątkę tej chwili.

— Może ona byłaby mnie pokochała? — pomyślał a myśl ta pełna słodczy i razem gryzącej żółci, sprawiła mu w sercu taki ból, jakiego nie doświadczył jeszcze nigdy. Zdawało mu się, że znalazł skarb, mogący do niego należeć, a on musi go rzucić i isć precz...

— Pozwól mi pani zrobić z tego pamiątkę... powtórzył i poszukał oczyma jej oczu. Piękna panna zapłonila się teraz i uczuła wzruszoną.

— Czy pan znów wyjeżdżasz gdzie daleko? — zapytała. — Może dlatego, żeś pan podobno słaby, wysyłają pana gdzieś w świat?... Ach! mnie się zdaje, że swoje powietrze najzdrowsze, że można żyć w niem czerstwo i silnie, byle sobie urządzić kącik odpowiedni.

— To sztuka właśnie — odparł Stanisław.

— Nie każdy ją posiada — dodał po chwili.

— Przecież każdy nabyć może, skoro chce szczerze — odpowiedziała Jadwiga poważnie. Zaczęła się domyslać, że Stanisław znajduje się w jakimś położeniu, które nie jest łatwym do przebycia. Po to może przybył do ojca — po radę, po pomoc!

— Czy czasem nie pokochał się tak, że ojciec nie uznaje miłości tej za dobrą? Czy nie chce się żenić tak, że ojciec nie chce na to pozwolić?...

Myślała to, idąc obok Stanisława; zwracali się teraz w stronę domu, tak jakoś machinalnie i bezwiednie, jak poprzednio szli przed sobą. Stanisław pokazał jej ulubione sobie miejsce w ogrodzie; ona, wywdzięczając się, dała mu zerwany przez siebie kwiatek, każde więc dostało coś na wzajem.

Ani się domyslała przecież, co ona dała mu obok stokrotki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LVIII.

Nie wypada, komedia w 5 aktach oryginalnie napisana przez Michała Wołowskiego i Józefa Kotarbińskiego. Pierwsze przedstawienie w Teatrze Rozmaitości d. 17 Stycznia r. b.

Sztuka tendencyjna, a tendencyją jej sam tytuł wskazuje. Autorowie postanowili uplastyczyć konwenans w stosunkach towarzyskich, moralnych i społecznych i wykazać szkodliwy jego wpływ na życie. Fałsz uświęcony zwyczajem odzywa się w sztuce zgrzytem, rażącym logikę i uczucie prawdy moralnej; sztuczność przytłumia naturalne objawy serc i wywołuje stosunki, w których nie siła i zasługa, nie zacność i zdolność, ale próżność i próżniactwo, nieprawość i idyotyzm — utrzymują się na stanowiskach przeznaczonych dla rozumnych i uczciwych.

W konwenansie działają zarówno dodatnie żywioły wstydu, jak i ujemne tchórzostwa moralnego. Obyczajowe wytwarzają prawo, którem rządzi się społeczeństwo niezależnie od kodeksów. Kto wylamuje się z pod tego prawa, tego przygniata wstyd. Jestto czynnik bardzo dzielny zbawieniny, jeżeli stoi na straży porządku moralnego i rzeczywistych dóbr życia; ale staje się prawdziwym

przekleństwem, hamulcem duchowego rozwoju i moralności, ilekroć broni urojonego jakiegoś dobra, lub co gorsza, ilekroć wręcz złemu hołduje. Wtedy wyrabia się w całych warstwach społecznych i społeczeństwach zaraza obowiązkowego udawania i obowiązkowej czci dla pewnych zwyczajów i pewnych stanowisk społecznych, bez względu na człowieczą wartość zajmujących je osobników. Każda warstwa społeczna posiada takie fałszywe obowiązki, a panowanie ich nad sobą objawia wstydem wobec fałszu, a tchórzostwem wobec prawdy. Mamy tu jakby indyjski wóz Kryszny, toczący się po głowach ludzkich i miazdzący indywidualności. Wszystko klaniać się musi jakimś bałwankom, zwracać w jakąś uświęconą stronę świata, wyrzekać się i pozbywać samego siebie. Najwięcej jest tej sztuczności w warstwie, którą gwałt duszący prawdę „arystokracją“ nazywa. Tam całe prawodawstwo życia zamyka się w szeregu przepisów „wypada“ i „nie-wypada.“ Co złe i dobre, co pożyteczne i szkodliwe, co rozumne i niedorzeczne — o to nie dba prawodawcza księga tych wyższych żyjących, tylko ze sobą, w sobie i dla siebie. Konwenans jest tu wszystkim; można być najgorszym, byle zachować pozory — czy to bogactwa czy wpływu, czy uczciwości i rozumu. Zpod powszechnego strychulca silna tylko indywidualność uratować się zdoła — i to jeszcze najczęściej spostrzegamy ją, nie w poważnym rozwoju sił człowieczych, ale w jakiejś jednostronności, w jakimś dziwactwie. Tak gospodaruje konwenans u swego pierwszego ogniska — w arystokracji.

Ale gospodaruje i w innych warstwach społecznych, wżera się nawet między lud. Zapewne muszą być jakieś naturalne przyczyny tej powszechności zjawisk, tej skłonności gromad ludzkich do hołdowania uświęconemu fałszowi lub czczości stawianej za treść i istotę. Moralistom przypominać się powinny zawsze owe pióra ze skrzydeł ptasich, któremi dzieci wartość swoją społeczną i indywidualną podnoszą. Cywilizacja w bardzo obszernym zakresie życia nic innego nie robi, tylko to, co robiła dzikość. Może zatem i konwenans jest tylko wytworem naturalnego popędu mającego już wieki za sobą i wieki jeszcze przed sobą. Cóż z tego? Czy znać moc natury, czy też isć z nią do walki? Toć i pijaństwo jest tylko skutkiem naturalnego popędu; dziki zaczyna dziś cywilizacją od upicia się: czyż dlatego uznamy pijaństwo za jakąś konieczność? Taksamo i to opilstwo moralne, występujące w postaci konwenansu, zwalczać potrzeba, jako wroga indywidualności, jako zmorę tłoczącą samodzielność, niedozwalającą rozumom i sercom rozwijać się do głębi — a więc pośrednio krzywdzącą i społeczeństwo o którego sile, nie ilość statystycznych jednostek, ale jakoś ujednostkowionych a rzeczywiście rozwiniętych umysłowości po wszystkich wieki i we wszelkich warunkach i położeniach rozstrzygać będzie. Dlatego wbrew niezadowolonym, wybranym lub narzucającym, przedstawicielom sfer wyższych społeczeństwa, wbrew tym myślicielom, którzy patrzą na ludzkosć z przedmiotowością, ale i z podbiegunowym mrozem prawd fizjologicznych, wbrew tym wszystkim którzy się już znudzili życiem i ludźmi i dlatego tylko powiadają, że nie ma co świata poprawiać, — uważam temat „nie wypada“ za żywoty nie tylko dziś, ale i zawsze, — żywoty szczególnie u nas, gdzie rozwój indywidualności jest tak słaby on, a skutkiem tego i gromadność tak wątła. Konwenans bardzo nam wiele młodych indywidualności pożera, wielu starami już nieograniczenie trzęsie. Potrzeba upominać i ośmieszać, potrzeba wkleśłe zwierciadło satyry przed oczyma ludzkimi przesuwać. Niech się w niem przegląda tchórzostwo wobec prawdy, wstręt od samoistności umysłowej, skłonność do pozorów, upodobanie w świecidełkach i powagach. Gromada się nie poprawi, ale się poprawią lub od zepsucia wstrzymają przynajmniej lepsze jednostki.

Temat krępującego konwenansu głównie nas pociąga do komedii p.p. Kotarbińskiego i Wołowskiego. Nie jestem zwolennikiem tendencyi, ale odróżniam tendencyją odwołującą się do umysłów słuchaczy i potrzebującą w nich dopiero

przeprowadzać cały proces rozumowania, od tendencji mającej już gotowe za sobą przeświadczenie powszechne i odwołującej się tylko do uczuć. Taka właśnie jest tendencja nowej sztuki. Gdy nam Dumas stawia swoje tezy, czujemy na scenie zapach broszury świeżo wyszłej z prasy; gdy nam nasi autorowie dramatyzują tezę „nie wypada” — współczujemy z nimi i współczuciem estetycznym popieramy ich dążenia, nie potrzebując dopiero dochodzić, czy mają słuszność czy nie. Sztuki bez dążności niema, jak wogóle niema poezji bez dążności; nawet liryka egotyczna ma swój kierunek i cel. Zasada „sztuka dla sztuki” nie znaczy jubilerszczyzny czystej formy; kto ją tak rozumie, ten jej nie rozumie wcale. W zasadzie tej kryje się tylko prawo ciążące nad sztuką, aby wystarczała samej sobie i nie wspomagała się prawdami, choćby najżywniejszemi, ale niezamienionemi, jeśli tak powie dzieć wolno, w krew piękna. Nie sztuka ma być środkiem działania, narzędziem tendencji t. j., jakiejś myśli, życie praktyczne w sobie odbijającej; ale przeciwnie, tendencja powinna służyć sztuce: utraci surową swą postać myśli wyrozumowanej, ale się przejawia w uszlachetnionych kształtach żywego czynu i nie w zimnym odebrwanym umyśle, ale w palającym człowieczeństwie źródło i usprawiedliwienie dla siebie znajdzie. Tylko sztuka zupełnie idyotyczna, czyli niesztuka, może się obywać bez myśli przewodniej, bez pewnej manifestacji przekonania, miłości i nienawiści zasadniczych; ale tylko sztuka niedołączna da się przytłoczyć zasadami, które poza nią lepiej jeszcze i dokładniej, niż w niej samej do samowiedzy powszechnej wprowadzić się dadzą. Zasada „sztuka dla sztuki” jest również błędnie pojmowaną przez tych, którym się zdaje, że takie hasło czyni z pięknotwórstwa wogóle jedynie tylko zabawkę przelotną, jakąś funkcją wykwiłtowego smaku, nieprzynoszącą nic dla twardej trudów życia. Przeciwnie, im surowszem będzie w sztuce samej to prawodawstwo poddające tendencją pod rząd piękna, to jest pięknie odtworzonego życia, tem pewniejszym i potężniejszym być musi wpływ sztuki na ludzi, a więc i na życie. Utwór, jak człowiek z silniejszym charakterem, wyższym rozumem i większą żywotnością myśli, doskonale też przemawiać do dusz i hołdować je sobie będzie.

W komedii p. p. Kotarbińskiego i Wołowskiego temat „Nie wypada” snuje się w czterech kierunkach: najpierw wyborcy bez przekonania dają głos niezadowolonym, lękając się wybrać zasluzonego, ale posiadającego pewne nieprawidłowości w akcie urodzenia; potem mężczyzna zdradzany przez niegodziwą żonę, nie mając dzieci, woli pozostać w hanbiącym go związku, niż zdobyć się na odwagę zerwania, do którego przecież zachęcać go powinno uczucie dla innej kobiety; dalej matka tłumii w sobie głos macierzyństwa i idzie albo świadomie wbrew własnemu dziecku, albo też z kamienną dla jego losu obojętnością; wreszcie panienska na wydaniu cofa się od małżeństwa z człowiekiem, którego przeciwnicy polityczni nazwali podrzutkiem. Najwięcej miejsca zajmuje w sztuce stosunek pierwszy; jest to jakby główne tło przygodne dla psychologii dramatycznej. Znajdujemy się w atmosferze, którą oddycha *Wielki człowiek do małych interesów* lub *Osaczony* Lubowskiego. Ta ostatnia sztuka posiada dużo podobieństwa do nowej komedii. Rzecz toczy się w Galicyi i wybory galicyjskie satyra bierze sobie na cel czy na fundusz. W tem strzelaniu do wyborców galicyjskich jest dużo przesady, nieprawdopodobieństwa i karykatury. Niema takiego członka sejmu czy rady państwa, któryby mandat swój zawdzięczał jakiejś kobiecie, bez stanowiska wybitnego, tembardziej, jeśli się wcale do posłowania nie garnął i raczej wypraszał się od zaszczytu. Niema tak ograniczonego kandydata w klasie czytającej gazety polityczne, któryby nie wiedział, co to jest „prawo centrum.” Starosta nikogo do kozy wsadzić nie może za to, że ktoś wygłasza opinie, niedotykające ani jego samego, ani żadnej innej osobistości rządowej, wyższej lub niższej. Kandydatura nie może być nakazana przez żaden komitet, nie można więc stawiać jej tylko przez posłuszeń-

stwo dla komitetu. Wygłoszenie mowy na kasyynie, które jest tylko zabawą, a nie czynnością wyborczą, nie było wcale koniecznem. Lidzki dlatego tylko mimo perswazyi Trzaski, przemawia, że autorowie potrzebowali w jego mowę wtrącić nagle temat pochodzenia, na który nie było miejsca na właściwym zebraniu przedwyborczem. Postępowy adwokat jest zbyt naiwnym w swej szlachetności, gdy uważając zabiegi wyborcze za krecie roboty, dumnie niemi pogardza: dowodzi tem tylko, że nie ma rzetelnego powołania do życia publicznego. Wogóle ośmieszanie wyborów niedobrze wpływa na samowiedzę zbiorową. Nie możemy tutaj szeroko wykładać przyczyn takiego skutku.

Na Lidzkiego włożyli autorowie ciężar bohaterstwa bardzo rzadkiego, bo bardzo trudnego, w życiu. Niezmuszony niczem, w rew ojcu swemu, adwokat przyznaje się do swego pochodzenia. Tu już chyba satyryczna teza „nie wypada” mogła moc swoją utracić. Chociażby cnota miała być tylko użytecznym zwyczajem, jak naucejacy pozytywiści, dobrze jest zwyczaj taki szanować i dobre imię jest tylko nagrodą za to poszanowanie prawa powszechnego, na którym oparły się wszystkie cywilizacye, nawet barbarzyńskie. Jako organ stronnictwa ruchu Lidzki w akcie III stoi na wysokości swego powołania. „Pragniemy — woła — aby nasi krzewiciele wielcy szli za jej postępem, a nie szukali synekur, trzymając się klamki pańskiej; ażeby dobro ogółu nie było poświęcane dla wiedeńskich umizgów, dla kariery jednostek... Ze wstydem i żalem wylizimy, jak ludzie wybrani do najważniejszej służby społecznej nie umieją bronić żywotnych interesów, bo *nie wypada* im zakłócić sąsiedzkiej harmonii; jak na każdym kroku znajdują tylko apokorzenie i porażki...” A dalej, zwracając się do nieprawego dziennikarstwa, woła: — „Podkop i intryga to wasza broń, stroicie się w lokajskie suknie, plamicie godność uczciwego dziennikarstwa. Dla przypodobania się swym panom, jak psy spuszczone ze sfory, gotowicie kasać ludzi uczciwych, by was potem jaśnie oświecony poglaskał w przedpokoju.” Wszystko to są szczere prawdy, nie czeze tylko frazesy, jak chce nasza idealistyczno-zachowawcza krytyka.

Spiritus flat ubi vult: dlatego mógł sobie Lidzki zwrócić się z affektem swym ku takiej Maryni, której serce według jej własnego wyznania „skacze równo, jakby tańczyło polkę”. Ale rozum powinien mu być powiedzieć, że właśnie taka wata purchawka, która chce widzieć ojca posłem na to tylko, aby się mogła wytańczyć i wybawić, ogniowej próby prawdy nie wytrzyma: potrzeba już charakteru i wielkiej, a przynajmniej gorącej miłości, aby się w podobnem położeniu nie cofnąć i mężnie pójść przebojem naprzód...

Małżonkowie Szydłowieccy stanowią parę umyślnie dobraną do tezy: ona cyniczna, on tchórz bez granic. Na nim dopuściła się myśl twórcza pewnego *salto*: połowiczność jego woli jako człowieka związała z połowicznością jego przekonań politycznych; dwa razy w sztuce pojęcie prawego centrum występuje jako zasada ułomnego charakteru moralnego. Zdawałoby się, że kto do prawego centrum należy, ten już nie może być ani stanowczym, ani całkowitym, nie może być *człowiekiem* w życiu indywidualnem. Ustosunkowanie psychicznej treści każdego z małżonków jest dobre, a pubudki w nich działające, — zgodne z logiką namiętności. Zagrożony najstraszniejszym obwinieniem, lichy człowiek łamie się i idzie dalej w jarzmie niesławy istotnej, i choć ją doskonale widzi, uciec już od niej niema siły. Jego miłość dla Janiny odpowiada jego uczuciuhonoru: słaba wola grzęźnie coraz głębiej w bagnisku. Ale i Janina nie zasługuje na silniejsze zapaly: jestto może jedyna w sztuce postać z papieru.

Trzaska i Rembowa — nieopatrzne dzieci z dni młodości — przejawiają się w rysach charakterystycznych: on uczciwy idący za głosem serca, ona zimna i wyrodna przez konwenans. W jej to usta włożyli autorowie bardzo właściwie zasadę: „kto zrozumiał ten wyraz (nie wypada), ten posiadał już większą połowę sztuki życia.” Wogóle nie brakuje nowej komedii charakterystyki oby-

czajowej, jakkolwiek nie dostrzegamy w niej psychologicznie bujnych charakterów. Nie miały one dla siebie miejsca w budowie złożonej z mnóstwa szczegółów przeznaczonych do urozmaicenia sztuki i utrzymania zajęcia w widzu. Udaje mi się to w bardzo przyzwoitej już mierze, i nieraz bardzo małemi środkami. Tak np. kiedy Rembowa, wzięwszy pod rękę panią Szydłowiecką mówi do niej poprzyjacielsku: „My, uczciwe kobiety” — cały teatr parska śmiechem. W akcie IV rozprawę Trzaski z Rembową przeprowadzili autorowie z prawdą estetyczną; dyalog ten jest wyrazisty, gorący i nie zostawia słuchacza obojętnym. Trzaska, z charakteru nie Gibo- ver, i podobny do niego tylko ze swego położenia, ma świetną chwilę, kiedy się rzuca do garłła nikczemnemu dziennikarzowi Maciukiewiczowi, który nawet we własnem swoim przekonaniu działał tylko jako oszczerca Lidzkiego. W akcie V-tym Trzaska summuje wszystkie „nie wypada” sztuki, i prawdziwie zrozumieć nie mogę, dlaczego mu krytyka odmawia moralnego prawa do kazondziejstwa, zresztą bardzo zwięzłego, treściwego i mającego za sobą zupełne prawo estetyczne?

Postaci komiczne: Powiński, Łopacki, Babelciewicz są wcale dobre. Powiński, przysły poseł, ojejeciec Maryni, rusza się ciągle w sztuce. Jestto charakter prawy, a raczej dobre serce czyste sumienie: niegodziwość pewno nie popełni, ale na to chyba stworzony, aby popełniać same głupstwa. Typ szlachecki, nietrudny zresztą do pochwylenia, odzywa się w nim bardzo wyraźnie. Rozum odmawia mu posłuszeństwa, próżność go lechce, wesołość upaja: ale ograniczoną i pycha i lekkość, nie tłumia w nim uczucia sprawiedliwości; tylko wola słaba, bo na wyrozumowanych zasadach życia nie wsparta, czyni go narzędziem w ręku ambitnej Rembowej, uczyni go później narzędziem pierwszej lepszej osobistości w sejmie. Uosobienie tchórzowstwa w Łopackim jest wyborne.

Grano sztukę bardzo dobrze — z prawdziwym, szczerem koleżeństwem. W Powińskim (pan Ostrowski) zbyt słabo przebijała się jego strona poważna, to jest ta, którą on sam za poważną uważać musiał; jako osobistość komiczna, był on doskonały. Opowiadanie o obietnankach cacankach, rozdawanych wyborcom naprawo i nalewo — należy do rzędu najlepszych wytworów w całej zasobni artystycznej p. Ostrowskiego. P. Kotarbiński wcielił się w postać Lidzkiego i znalazł w sobie prawdę, zapal, głos metaliczny. a w akcie III i V porywał. Pan Szymanowski, jako Łopacki, był nieocenionym; trudno wymagać lepszego artyzmu w roli pozbawionej wszelkiego działania i złożonej tylko z rysów określających charakter. Pan Ładnowski w roli Trzaski utrzymał zwykłą swą powagę i nastrój szlachetny; w scenach z Maciukiewiczem i Rembową umiał poruszyć słuchaczy. W akcie V-ymslyszełszy w głosie artysty ton starego Apfella; zarywa artysta na jego semicką dykę. Pani Rembowa dobrą tłómaczkę znalazła w pani Niewiarowskiej. Pani Lüdowa była przepysznie cyniczną a przytem elegancką Szydłowiecką: patrzyliśmy i na świetne zjawisko i na artyzm. Panna Noiret, jako Janina musiała więcej mówić, niż czuć i działać, a wdzięku mowie jej nie dodaje głos, jakby kobiece *basso profundo*, domagający się jakiejś Medei, jakiejś ochmistryni Eumenid.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Styczniu 1888 r.

Szon.—Teatra.—Wiedeń a Pest.—Lipiner.—Dzieło o Austrii. Paderewski i Rosenblatt.—Obrazy Boecklina.— Biblioteka Polska.

? Zima stosunkowo bardzo ostra doprowadza tu ludzi do niecierpliwości; obawa wojny, a wskutek tego zastój interesów, niecierpliwość potę-

guje. Wynikiem tego położenia jest zastosowanie na swój sposób naszego przysłowia: dobry trunek na frasunek. Więc wszelakim szaleńcem, upojeniem dodają sobie ludzie ochoty; a że usposobienie tutejszej ludności ciągnie ją zawsze do wesołości, do zabaw, do używania: więc jakiekolwiek są horoskopy noworoczne, Wiedeń się bawi poswojem. Jak on się bawi, to wierni czytelnicy „Bluszczu“ wiedzą. Z roku na rok powtarza się to samo; fantazyja się wyczerpuje, szablon zostaje. Więc ślizgawka, skating, koncerta, teatru, domowe t. z. przyjęcia, wystawy i zapowiedzi—elite—balów, oraz przeróżnych kostiumowych. Pod względem ruchu towarzyskiego, słyszałem właśnie w tych dniach zdanie jednego z pierwszych autorów tutejszych i jednej cudzoziemki od kilku miesięcy w Wiedniu zamieszkałej, a mającej stosunki rozległe. Narzekali zgodnie, że w Wiedniu towarzyskie obcowanie nie istnieje; w całej stolicy niema ani jednego salonu; zebrań są nudne, napięte, zbytkowe, a płytkie; po pis, wystawa, uleganie z konieczności pewnym obowiązkom stanowiska, spraszanie ludzi, którzy się przedtem nie znali i potem znać nie będą—ot pańszczyzna towarzyska, ale nie swobody, szczerości, natury. Przysną ją to nawet Wiedeńczycy, narzekają, ale niema na to rady, gdyż niema kobiety, gospodyni. Są panie, ale niema pani domu, bo niema domu. Spostrzeżenia moje i doświadczenia w tej mierze z każdym rokiem się stwierdzają.

Tylko też wobec takiego społeczeństwa mogą być teatru tak prowadzone, jak są tutaj. Odnosi się to wyłącznie do społeczeństwa stolicy, nie całego państwa, które w każdym kraju inne przedstawia stosunki. Nie mówi się o obu cesarskich operach i dramacie, które są wzorowe; lecz gdyby stolica była stolicą, mogłyby zaledwo dla małej części ludności wystarczyć. Inne zaś teatru, to jest trzy na milion set tysięcy ludności, mogą istnieć tylko farsą (poszą) i operetką. Dyrektorowie są też ciągle w pogoni za nowymi zabawkami, wesołymi operetkami. Nie udaje im się to wcale, a przecież publiczność chodzi do teatrów, byle mieć co zrobić z wieczorem, co więcej jest zwykle zadowolona byle czem, byle było puste i ubarwione lokalną hecą. Czytałem, że wysłano z Warszawy p. Morozowicza, żeby zobaczył i nabył dla Warszawy tutejsze operetkowe nowości. Szkoda tej podróży; nowości te zgoła nic nie „warte“, mianowicie „Hofnarr“, „Die dreizehn“, „Glücksritter“; muzyka słaba, dowcipu atomy, i to nader wątpliwego, tekst, jak zwykle, bez sensu. Sprawozdaniom tutejszych dzienników zgoła ufać nie można; komeraderya przesadza się w pochwałach nawzajem, gdyż felietoniści wzięli się dla interessów, do pisania libret. Nie można im tego zarobku brać za złe, ale należy naszą publiczność ostrzedz, że są to roboty bezwarunkowo bez wartości, które tutaj utrzymują się jedynie zapomocą reklamy dziennikarskiej, oraz tem, czem stają kawiarniani volksaengerzy z powkładaniami kupletami, które satyrycznie tutejsze drobne wydarzenia przekpiwają.

Ten neurodzaj jest tak powszechny, że wszystkie nowe sztuki nawet w cesarskim teatrze od razu upadły, więc wymieniać ich nie warto. Jedyny wyjątek stanowi Straussa *Simplicyusz*, osnuty na starym romansie z XVII w. Strauss nietylko ęci walcami, ale nadto roztacza coraz obfitsze skarby wyższej muzyki, uroczych melodyi. Zamierzył on też zerwać z operetką, a zabrać się do opery. Doci, Hofrath i poeta węgierski, autor „Ostatniej miłości“, pierwszy dziś komedyopisarz węgierski, pisze mu text wzięty z nowelli Paszmany'ego.

Naprzeciw jałowości produkcji tutejszej i wogóle niemieckiej występuje żywotność teatru węgierskiego. Doci, pani Benicsky, Jokay, dostarczają tam ciągle nowych utworów; a sądząc z treści i sceneryi, są to istotnie dzieła pełne wartości. Cóż to za szkoda, że niepodobna jeszcze i węgierskiego języka się uczyć! Ale ponownie zwracam uwagę, że tak co do dramatu, komedii i sztuk ludowych, wodewilowych należałoby nam zacząć zapoznawać się ze sceną węgierską. Z literaturą wogóle ma się tutaj taksamo, jak z tea-

trem. Tutaj nie nie wychodzi; mieszkający tutaj autorzy tylko gdzieś w Niemczech mogą coś wydać. Tak n. p. Lipinera, bibliotekarza parlamentu, znakomite przekłady „Pana Tadeusza“ i „Dziadów“ wyszły w Lipsku. W Wiedniu publiczność nic o nich nie wie, dzienniki ani wspomną, żadna czytelnia nie sprowadzi. Przy sposobności ogłoszenia tych przekładów rozpytywałem o książkę prof. Bratranka „Zwei Polen in Weimar.“ (Listy Odyńca z Weimaru i wstęp), które w Niemczech były jakby nowem objawieniem, a wyszły w Wiedniu r. 1870. Nikt z publiczności nikt z literatów nie znalazł jej, żadna czytelnia jej nie ma. Kupiłem egzemplarz i pożyczam—wrywają go sobie, to prawda, ale trzeba im dać pieczone gołąbki do gąbki.

Nie wiem czy zwracałem już uwagę na dzieło „Austro-Węgry, w opisach i w obrazach“, które wychodzi pod czynnym kierunkiem następcy tronu, arcyksięcia Rudolfa. Dla naszych literatów, etnologów są w niem kopalnie wiadomości. Z ostatnich zeszytów szczególnie się odznaczają prace Jokaya o literaturze ludowej węgierskiej, o zbiorach pieśni i podań, o humorze węgierskim itp. Na Galicyą przyjdzie kolej dopiero za dwa lata.

Muzyki koncertowej jest tu zawsze obfitość, aż do zbytku. W tej mierze jest Wiedeń między narodowym, tak liczną jest drużyna prawdziwych znawców i miłośników, że za ich przykładem idą tłumy tutaj, jak wszędzie; grają swoją rolę koterye i protekcyje, jednak prawdziwy talent muzyczny łatwiej się tu wybija na jaw, niż gdzieindziej, i ztąd bierze paszport na cały świat. Skrzypek Ondrieek, Czech, Paderewski fortepianista, Sembrich, mają tu wielkie powodzenie. Paderewski jest prawdziwym mistrzem; głównie go znamionuje głęboki pełny ton. Coraz więcej zdobywa uznania Rosenblatt (z Galicyi) także fortepianista, któremu rokuja, że niebawem Rubinsteina zastąpi. O tem mogę zapewnić, że obaj ci muzycy przerosli o całe światy Grünfelda, który tak w Warszawie się podoba, a którego gra wobec gry tych artystów wydaje się elegancko-błądą. Śliwińskiego nie miałem sposobności słyszeć.

Z wystaw najciekawszą była—obrazów szwajcarskiego malarza Boecklina: Wiosna, Nimfa wodna, Pogromca smoka, Fale morza, Pieta. Krytycy i malarze podnoszą kolorystyczne zalety Boecklina, harmonijne disharmonie w sprzęganiu barw. Na to zgoda, ale co do właściwej, poetycznej wartości jego utworów, publiczność a ja z nią, nietylko w obrazach tego dziwaka piękności dopatrzeć się nie mogę, ale przeciwnie są mi one wstrętne. Mówią, że Boecklin łączy mitologią klasyczną i północną i stwarza z nich fantastyczne światy i postacie—zapewne: fantastyczne, lecz chyba dlatego, że potworne. Wrażenie obrazów jego osiada na umyśle, jakby zmora—same dziwaczności i brzydota. Jest to jakby Zola własnej fantazyi, obrazy jego mogłyby być ilustracyami wrażeń i pojęć ludów dzikich, pierwotnych, w których głębi tkwi jakaś iskra poezyi, lecz których objawy zewnętrzne są brzydkie, są karykaturą natury. U malarza europejskiego lubowania się w takich fantazyjach wstrętnych, odpychających, jest chorobą i grzechem przeciw własnemu talentowi. Do prawdziwej poezyi, choćby najfantastyczniejszej, można zawsze przyłożyć miarę zdrowego rozsądku; obrazy Boecklina są wcielonym bezsensem. Wiele ładnych szczegółów nie zastąpi braku wątku. Może te obrazy kiedy i do Warszawy przywędrują, to sprawdzicie moje uwagi, które pod sekretem tu wypowiadam bo zawodowi znawcy chwala, unoszą się—lubo zarzutów moich obalić mi nie umieli. Effekta kolorystyczne, to dopiero technika, nie poezya; dziwactwa i potworności, to nie fantazyja; realizm przesadny zastosowany do wytworów imaginacyi, razi jeszcze więcej, niż w zastosowaniu do odtwarzania przedmiotów natury. Szczególniej wstrętnym jest obraz „Gra fal morza.“ To pewna, że dotąd jeszcze żaden poeta ani malarz takich potworności w łamaniu się fal i światła i barw nie dopatrzył. Może ta brzydka nowość imponuje dlatego, że nowa; dla mnie jest to tylko nieestetyczny *cauchemar*.

Zawiązane tutaj przed kilku miesiącami Towarzystwo biblioteki polskiej zdaje się, że się utrzyma, chociaż zaledwo na kilkudziesięciu członków liczyć może. Otwartą została wypożyczalnia książek, były już w małym kółku i dwa odczyty wcale zajmujące, próbowano też zebrać na sposób towarzyski rozpięchle żywioły. Pierwsza próba nie bardzo się udała, mają nastąpić dalsze. Dobrą pobudką będzie losowanie zakupionych 24 obrazków i szkiców Ajdukiewicza i Rybkowskiego. Może się też uda urządzić jakie teatrzyk amatorski i małe tańcowanie. Są takie zamiary. Udaje się to wybornie w salonie p. ministrowej Dunajewskiej, gdzie zbiera się, oprócz międzynarodowego, także i polskie towarzystwo, przez całą zimę, w soboty.

Rozwój fizyczny dziecka.

Prawie czwarta część życia ludzkiego przeznaczoną jest na rozwój organizmu. Proces ten, zanim człowiek w zupełności dojdzie do pełnych sił, jest bardzo skomplikowanym. Przedmioty nieorganiczne, jak np. kryształ, rosną także, lecz tutaj odbywa się rośnięcie jedynie przez odkładanie się cząsteczek zoły macierzystej na pierwotnie sformowany kryształik, przyczem wszystkie stosunki wymiarów pozostają niezmiennymi.

Zywe organizmy zmuszone są nietylko wybrać sobie właściwy pokarm z otaczającego ich świata, lecz prócz tego strawić go i przyswoić. Powiększanie się organizmu, przez assimilowanie przyjętych pokarmów podlega pewnym granicom, które nie mogą być przekroczone. Włókna mięśniowe, np. z których składa się cała masa mięśni, nazwana systematem muskularnym, nie przekraczają nigdy pod względem długości 5 cm., a pod względem szerokości $\frac{1}{15}$ mm. Jeżeli tedy mięśnie odpowiednio do rozwoju kości muszą się powiększać wtedy nie wystarcza już jedynie powiększanie się istniejących włókien, lecz muszą powstawać, nowe elementy. Otóż we wszystkich miękkich częściach organizmu podobny rozrost skutecznia się za pośrednictwem dzielenia się istniejących komórek i ich jąder. Z tego widzimy, że przyjęty pokarm, nie tylko służy do odżywienia już istniejących komórek, lecz jest i materialem wytwarzającym nowe elementy przeznaczone do rozrastania się.

Przy rozwoju kości odbywa się zupełnie odmienny proces. Kości rosnąc nie zmieniają jedynie rozmiarów, lecz i formę. Najwyraźniej można to zauważyć na szczęce dolnej, która u dzieci ma inną formę, jak u ludzi dorosłych. Rozrost kości odbywa się przez odkładanie nowych cząsteczek na ich powierzchnię, znajdującą się tuż pod okostną a także przez wypełnianie nowymi tworami już istniejących elementów. Pierwsze zowie się *przyrastaniem* lub *przywarstwianiem*, drugie rośnięciem *międzykanalikowym*. Skutkiem tego podwójnego sposobu rozwijania się może właśnie odbywać się zmiana formy kości w czasie ich rozrostu.

Organizm najbardziej rozwija się w kierunku długości, czyli na wysokość, w czem najgłówniejszy udział przyjmują kości długie kończyn dolnych.

Dobrze rozwinięte, nowonarodzone dziecko płci żeńskiej waży 3 a męskiej 3, 5 klg. w przecięciu. Do dojrzałości, t. j. mniej więcej do 15 roku życia powiększa wagę około 12 razy tak, że wówczas dochodzi 36 nawet do 42 kg. Przyrost wagi jednakże nie we wszystkich stadiach życia jest równomierny. Największe fluktuacje pod tym względem spotykamy w samym początku.

Przy końcu drugiego roku dziecko waży 3 i pół raza więcej, aniżeli zaraz po urodzeniu. W trzecim roku życia przybywa bardzo niewiele, gdyż zaledwie 10 ta część wagi ogólnej; w czwartym roku podobnież niezbyt bystro się podnosi, potem u dziewczyn do ósmego roku życia a u chłopców do ukończenia dziesiątego po 1,500—1,800 gramów rocznie przybywa. Od dziewiątego do je-

denastego przyrost staje się bystrzejszym, ale znowu po dojściu do dojrzałości zmniejsza się. Zwykle równoległe do przyboru na wadze następuje i wzrastanie pod względem wysokości. Nowonarodzone dziecko przeciętnie ma długości, t. j. wysokości 50 cm., czyli o trzecią część mniej niż człowiek dorosły. Najszybciej rośnie podczas karmienia piersią matki lub mamki, w pierwszym roku życia; z końcem dwunastego miesiąca przybywa mu 20 cm. (około 40%) tak, że wzrost dziecka rocznego wynosi 70 cm. Przybór ten dotoczy daleko więcej dolnej części ciała, niż górnej. W drugim roku przybywa około 15%, które równają się 15 cm., w trzecim 8% równające się 7 cm., od czwartego roku życia dziecko rośnie równomiernie przyczem rocznie przybywa około 5 cm. Skutkiem tego widzimy, że z końcem piątego roku wzrost powiększa się dwójnasób, a przy końcu piętnastego roku wzrost potrąja się tak, że wówczas dosięga 150 cm. Stosuje się to jednakże tylko do chłopców. Dziewczęta w ogólności rosną cokolwiek wolniej i nie dosięgają tej wysokości i ciężkości, co płęć męzka. Można twierdzić, że wysokość człowieka dosięga swego *maximum* między dwudziestym a dwudziestym drugim rokiem życia i wówczas wynosi około 170,5 cm. ¹⁾

W jakim stopniu objętość ciała zwiększa się przy wzroście, pokazują liczby: podczas, gdy waga ciała powiększa się dwanaście razy od chwili urodzenia do kompletnego rozwoju, wzrost w tym czasie powiększa się tylko trzykrotnie. Gdyby przybór na wadze i wzroście następował w stosunku jednokowym, wtedy wzrost wynosiłby 72 razy więcej, aniżeli w chwili narodzenia; ponieważ jednakże tak nie jest, widzimy, o ile ciało człowieka dorosłego smuklejsze jest od ciała noworodka.

W celach naukowych czynił spostrzeżenia dr Landsberger w Poznaniu od 1880 do 1886 roku; w tym czasie corocznie mierzył wielką ilość dzieci uczących się w szkołach poznańskich z uwzględnieniem wagi. W tej liczbie znajdowały się zarówno dzieci uboższej i bogatszej klasy ludności, zarówno polskiej jak i niemieckiej narodowości. Czynność tę uskuteczniał zawsze między 5 a 15 Maja o tejsamej porze dnia, w tejsamej miejscowości i temsamymi instrumentami, przy kompletnem rozebraniu dzieci. Podczas, gdy różnica wzrostu co do narodowości polskiej i niemieckiej była prawie żadną, socyalne warunki za to, jak pokazał rezultat, mają znakomity wpływ na wzrost dzieci. I tak dzieci ludzi zamożnych, wstępując do szkół są znacznie lepiej rozwiniętymi, przybywanie jednakże na wzroście, podczas pierwszego roku, pomimo lepszego żywienia się, nie jest większem, aniżeli to ma miejsce u dzieci rodziców ubogich: to wskazuje jasno, jak ważnem są dla dzieci w pierwszych latach życia odpowiednie warunki higieniczne.

Co do karmienia piersią matki lub mamki, i żywienia sztucznego dzieci, nadzwyczaj pouczająca jest tabella zebrana przez Russowa: i tak, dzieci żywione piersią oznaczane są przez literę A, zaś sztucznie przez literę B. Przy końcu roku ważyły przeciętnie:

w 1 rok	A	dzieci 9,9 kg. a miały	73 cm	wysok.
	B	" 7,4 " "	66 "	" "
w 2 rok	A	" 11,1 " "	83 "	" "
	B	" 8,6 " "	75 "	" "
w 3 rok	A	" 12,6 " "	89 "	" "
	B	" 10,5 " "	83 "	" "
w 4 rok	A	" 14,2 " "	93 "	" "
	B	" 12,0 " "	87 "	" "
w 5 rok	A	" 15,3 " "	100 "	" "
	B	" 13,4 " "	98 "	" "
w 6 rok	A	" 17,0 " "	106 "	" "
	B	" 15,7 " "	102 "	" "
w 7 rok	A	" 18,2 " "	110 "	" "
	B	" 15,9 " "	105 "	" "
w 8 rok	A	" 20,7 " "	116 "	" "
	B	" 18,3 " "	113 "	" "

1) Najwyższym człowiekiem, o którym wiadomo, był szwedzki olbrzym, który służył w gwardyi Fryderyka W-go, a którego wzrost wynosił 252,3 cm. Najmniejszy zaś człowiek miał 13,3 cm. wysokości.

W ostatnich czasach dyrektor zakładu dla głuchoniemych w Kopenhadze, Malling-Hansen, podawał swoich elewów w liczbie 130 codziennemu wazeni i mierzeniu. Zauważył przytem, że w przeciągu roku dzieci przebywają trzy okresy główne, z których jeden jest maksymalny, drugi średni, a trzeci minimalny pod względem przyboru na wadze.

Peryod maksymalny zaczyna się w Sierpniu, a kończy w połowie Grudnia trwa przeto 4 i pół miesiąca; średni peryod trwa od połowy Grudnia do początku Kwietnia, a więc również długo, jak poprzedni; minimalny zaś od końca Kwietnia do Czerwca, a więc jest najkrótszym, nie przekracza bowiem trzech miesięcy. Podczas, gdy w peryodzie maksymalnym przyrost dzienny na wadze jest trzy razy tak wielkim, jak w średnim, za to cały przyrost zyskany w tym ostatnim prawie zupełnie zostaje utraconym w peryodzie minimalnym.

Co do wzrostu (wysokości), to podobnież Melling-Hansen rozdzielił go na 3 peryody: minimalny, średni i maksymalny. Pierwszy rozpoczyna się (w Kopenhadze) w Sierpniu i trwa do końca Listopada, a zatem około 3½ miesiąca; średni od końca Listopada do końca Marca trwa około 4 miesięcy; zaś maksymalny zajmuje pozostałą część a więc około 4½ miesiąca. Dzienny przyrost wysokości jest w peryodzie średnim dwa razy tak wielkim, jak w minimalnym a w maksymalnym dwa i pół raza większy, niż w minimalnym.

Już dawniej wiadomem było, że przyrost na wadze u dzieci i wzrastanie są w pewnym przeciwieństwie; dziś na podstawie powyższych obserwacji można o tym fakcie na pewno twierdzić. Melling-Hansen utrzymuje, że czas obu peryodów maksymalnych przypada przeważnie na czas letnich wakacji. W samej rzeczy, ponieważ wakacje rozpoczynają się z końcem Czerwca i trwają dwa miesiące przeszło, bo prawie do połowy Września, spostrzeżenia uczonego duńskiego zgodne są z rzeczywistością.

Prócz powyższych fluktuacji rocznych, zebranych z takim trudem i zamięłowaniem w celach pedagogicznych i higienicznych przez Malling-Hansena, zarówno wzrost jak i waga człowieka podlegają zmianom codziennym, zawisłym od rozmaitych okoliczności i warunków, w jakich człowiek się znajduje. Tensam człowiek mierzący zrana może, jeżeli pozostawał w pozycji stojącej, skutkiem ucisku i nieznaczego ściśnięcia się kręgow kolumny pacierzowej, okazać się niższym o cały centymetr przy mierzeniu go, w południe. Forsowna praca a szczególnie chodzenie, działają w podobny sposób, a to skutkiem spłaszczenia nóg. W Belgii sposób ten jest praktykowany w celu uwolnienia się od służby wojskowej.

Powyższe dane naukowe pouczają nas, jak zwracać należy baczną uwagę, na karmienie, odziewanie i wychowanie dzieci. Każde z nich postawionem być winno co do pokarmów, jakie przyjmuje, co do odzienia, jakie nosi, i pościeli, w jakiej sypia, co do nauki i odpoczynków po takowej w warunkach, któreby w niczem nie takowały przyrostu na wadze i rośnięcia na wysokość. Widzieliśmy w liczbach, jaki wpływ dodatni wywiera na dziecko karmione piersią matki lub mamki, a jak ujemnie działa żywienie niemowląt surrogatami. To już nie teorie, ale ściśle badania naukowe wyrażone w liczbach. To samo stosuje i do ubrania dziecka. Wszelkie spowijania, zawiązywania w ciasne poduszki, krepowanie głowy czepkami a klatki piersiowej kaftanikami, przeszkadzają swobodnemu rozrostowi kości, mięśni, a co poza tem idzie—organów wewnętrznych, takich, jak mózg, płuca, serce, i t. p. Tamując rozrost takowych, dochowujemy się, zamiast zdrowych i inteligentnych dzieci, karłów pod względem fizycznym i umysłowym.

Widzieliśmy, że dziecko rozwija się głównie w czasie wakacji t. j. wówczas, gdy mu dajemy odpoczynek po całorocznej pracy. Owe wakacje tedy nie są, jak bardzo wielu sądzi, czezą formą przeznaczoną na próżniaczkę, lecz oczywistą potrzebą wymaganą przez naturę a uświęconą przez naukę.

Lecz które-to dziecko—zapytujemy—ma w obe-

cnym czasie wakacje, w ścisłem znaczeniu tego słowa?

Żadne, bezwarunkowo żadne!

Jeżeli uczyło się przez cały rok dobrze, jeżeli dostało przejście do wyższej klasy, to go się napędza do powtarzania lekcji, do przygotowywania się do mających być wykładanymi przedmiotów, albo przynajmniej do wycuczenia się, przez przeciąg dwóch miesięcy, jakiego obcego języka,—boć po skończeniu szkół będzie już za późno! albo do gry fortepianowej, rysowania i t. p. po kilka godzin dziennie. Jeżeli nie dostał promocyi, chociażby skutkiem niedostatecznego rozwinięcia władz umysłowych, (kto dziś i na to zwraca uwagę?) wertują korepetytorzy po całych dniach z malcem przebyte kursa, by po wakacjach mógł zdać examen do wyższej klasy. Bardzo często udaje się ta manipulacja, lecz czy po powyższych danych naukowych potrzeba dowodzić jej szkodliwości?

Dbałi rodzice o zdrowie, a więc o szczęście swych dzieci, powinni koniecznie zwrócić równą uwagę, a nawet bacniejszą jeszcze, na rozwój fizyczny swego dziecka, jak i na umysłowy. Nie przestaniemy nigdy przypominać, że jedynie w zdrowem ciele zdrowa dusza.

Widzieliśmy również, że rozwój fizyczny dziewcząt odbywa się wolniej, niż chłopców, i że nigdy nie dosięga tej wysokości. Stosownie do tego i wychowanie umysłowe ich winno być odmiennem. Tymczasem dziś dziewczęta w szkołach uczą się na równi z chłopcami, dziś kobieta, podobnie jak mężczyzna, zostaje lekarzem, adwokatem, urzędnikiem i t. p. Czy siły fizyczne jej są w stanie temu podolać? *That ist the question* nad którą, w jednym z następnych artykułów, nie omieszkamy się zastanowić.

Szczerze żałować przyciodzi, że dotąd u nas nie przedsięwzięto tego rodzaju badań naukowych, jakie prowadzi Malling-Hansen. Należy przyznać, że badania podobne wymagają dużo cierpliwości i pracy, ale jakże korzystnem są ich owoce!

Dr. Józef Starkman.

Kronika działalności kobiecej.

— Na dorocznym konkursie Warszawskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych, pierwszą nagrodę: 150 rs. w złocie, otrzymała Anna Bilińska z Paryża za dwa portrety: jeden własny, malowany olejno; drugi „mężczyzny,” farbami wodnemi. P. Bilińska otrzymuje w ciągu roku za swój portret trzecią już nagrodę. Pierwszą był medal, otrzymany na paryskiej wystawie; dyplom honorowy w Krakowie na „Pierwszej Wystawie Sztuki Polskiej,” a obecnie przyznana jest trzecią. Zadeklarowany na wystawę obraz Maryi Dulębianki, lecz z powodu stanu jej zdrowia nienadesłany, znajduje się jednak na wystawie w dziale pozakonkursowym. Między ostatnimi zakupami dzieł sztuki przez Towarzystwo Sztuk Pięknych, zakupiono siedm obrazów wyszłych z pod pędzla kobiecego: Bilińskiej: „Nad morzem,” Dulębianki: „Włoszka,” Łukomskiej: „Zając,” i „Owoce,” Poświkowej: „Irysy” i „Mieczyki,” Stankiewiczowej: „Cyganiątko.”

— P. Zenobia Gerbert otworzyła w naszym mieście pracownią malarską. Artystka kształciła się w Paryżu i w Monachium.

— Strojenie fortepianów może się stać nową i stosowną dla kobiety gałęzią pracy zarobkowej. *Kuryer Warszawski* donosi, że wdowa po stroicielu, p. T. objęła po zmarłym mężu klientelę i zarabia w ten sposób na swoje i trojga dzieci utrzymanie.

— Wysoce użyteczny Zakład Sierot Ś-go Kazimierza na Tamce, liczy w roku bieżącym 100 sierot dziewczynek, 30 czynnych Sióstr Miłosierdzia, 40 sióstr emerytek. Dochód obliczony na rok bieżący jest 17,614 rs., rozechód konieczny 23,098 rs.

— *Gazeta Lubelska* donosi, że za staraniem je-

dnej z pań lubelskich ma tam być założonym ogródek froeblovski.

— P. Hufniarska, uczennica wyższej szkoły realnej w Marsylii, gdzie kształciła się na wydziale technologicznym, otrzymawszy patent skończonej nauki, zakłada w Warszawie farbiarnię, gdzie prócz zwykłego zajęcia się farbowaniem przedmiotów odzieży, farbować się będą i pióra. Wraz z panią Hufniarską uczęszczały do wspomnianej szkoły trzy Polki.

— Stosunki polityczne między Francją a Włochami wywołały zmiany w taryfach celnictwa tych państw, w skutek czego jedwab surowy którego Francja sprowadza z Włoch za 40 milionów franków, bardzo podrożał i fabrykanci francuscy zamierzają zwrócić się z zakupami nie tylko do Algieru, ale i na Wschód Azji, aby w ten sposób zapewnić sobie towar tańszy. W obec tego położenia jedwab nasz miałby miejsce zbytu, gdyby go tylko dostarczano na rynek francuski w większych, niż dotąd ilościach—w ilościach mogących coś już znaczyć w stosunku do żądań tak wysokich. Ale na to potrzeba się spieszyć, zanim stosunki handlowe ze Wschodem wyrobą sobie drogi i ustalą się; przypominamy też naszym czytelnikom, że p. Adolf Bogucki, zamieszkały w willi Bogucin pod Warszawą, w Gminie Czerniakowskiej, nabywa jedwab surowy we wszelkich większych i mniejszych ilościach.

— Zmarła w Krakowie zasłużenie wdzięczna, wśród Warszawy pamięci Stefania ze Strasburgerów Jodłowska, żona doktora medycyny, poświęcająca się niegdyś w mieście naszym bezpłatnemu nauczycielstwu w szkołach Towarzystwa Dobroczynności. W szkole niedzielnej, mieszczącej się przy ulicy Podwale, w domu państwa lińskim zajmowała się pracowicie i serdecznie nauczaniem służących.

— Liczba studentek na uniwersytetach szwajcarskich, w Zurychu i Genewie, zmniejsza się znacznie, za to powiększa się ich liczba w Belgii, w zmienionych też warunkach otaczającej je tam atmosfery. Obecnie studjuje w Brukseli 20, lecz z tych tylko kilka uczęszcza na wydział medyczny, reszta poświęca się naukom przyrodniczym i farmakologii z praktycznym celem stania się kiedyś aptekarkami, głównie po wsich i małych miasteczkach, jak to ma już miejsce w Hollandyi od lat kilkunastu. Studya farmaceutyczne trwają tylko lat trzy, nie przedstawiają też różnic ciężkich dla kobiety do przebycia szczegółów nauki, a zajęcia aptekarskie w głębi prowincyi przedstawia niejako pewne warunki powodzenia. Włoska *Rassegna* donosiła o podobnym skierowaniu się Włosek, potrzebujących pracy, aby żyć z zarobku, a które chwytając się jej gałęzi, względnie dla kobiety nowych, nie cisną się do wielkich miast, nie stawiają do trudnej konkurencji z mężczyzną, nie dowodzą żadnych swoich praw na zasadzie emancypacji zdobywanych, lecz na prawie wszelkiej istoty ludzkiej, która potrzebuje żyć, wyrabiając sobie nowe drogi zarobkowe cicho i pracowicie. Z takich też jedynie bywają potem dobre i odpowiadające naturalnemu przeznaczeniu swemu matki rodziny, gdy im los to przyniesie, a raczej, gdy nie wykołejone z kobiecości zarobią sobie na to najszcześniejsze dla kobiety istnienie u domowego ogniska.

— Przełożona Katolickich Sióstr Miłosierdzia Śś-tej Katarzyny w Londynie, nosząca świeckie nazwisko lady Pauliny Granville, podaje w raporcie z rocznej działalności Zgromadzenia, że otworzyła ona drzwi swego domu młodym kobietom, wychodzącym z więzienia, gdzie odsiadywały karę za złodziejstwo, popełnione pojedynczo i w wartości niewysokiej. Jeżeli tylko obyczaje

ich były z innej strony uczciwe, Zgromadzenie przyjmuje wszystkie bezpłatnie w chwili, gdy więzienie oddaje je światu ubogie, piętnem niesławy dotknięte, często pozbawione rodziny i nie mające żadnego dachu, któryby je osłonił, i zapewnia im rok pobytu w murach swoich. Tu uczą się szyć, prac i innych robót kobiecych, mogących zapewnić uczciwe utrzymanie, do czego dołączonym jest staranie obudzenia w nich uczucia religijnego, niezależnie czy są katolicki, lub wyznania anglikańskiego. Najczęściej są to służące z zamożnych domów, gdzie znajdują sposobność do kradzieży. Siostry spotkały w roku upłynionym 24 tak grzesznych; z tych dwadzieścia przyjeżdża do domu Zgromadzenia, gdzie, umocnione na duchu, zostały i wyuczone tak dostatecznie zawodowej swej pracy, aby nie ściągając na siebie nagany pracodawców, nie czuły się w spełnianiu swych obowiązków nieszcześnie. Tylko 4 zawiodło pokładane w nich nadzieje poprawy; 16 umieszczonych przez Siostry w domach uczciwych, dobrze się wywiązują ze swoich obowiązków. Matka Przełożona dodaje do sprawozdania uwagę, że panie nieumiejętne swem postępowaniem, w znacznej części przyczyniają się do moralnego upadku służących. Jedne ostre i wyniosłe, bezwzględnie surowe—bez chrześcijańskiego uczucia ludzkiego braterstwa w sercu, zniechęcają młode służące do zawodu swego i budzą w nich pragnienie zapewnienia sobie, choć w sposób mniej godziwy, środków urządzania życia inaczej. Inne, rozrzucone i lekkomyślne niegospodarne, nieszanujące posiadanego mienia, kuszą do kradzieży przez myśl, że to, co dla pań takich jest niczem—jest przedmiotem mało cenionym, dla nich stanowiąc może majątek i zmienione warunki ich losu, a przynajmniej na czas jakiś uwolnienie od pracy w służbie, która nie wszędzie odpowiada chrześcijańskiemu ideałowi obowiązków człowieka względem człowieka: „Młode, mało pod względem powinności swoich oświecone dziewczęta, są często tak moralnie nieświadome, jak te dzieciątka, o których Chrystus mówił: — „Pozwólcie tym maluczkiem przyjść do mnie...” A czyż często panie, zkażdym dobre i szlachetne, przypuszczają tak do siebie usługi swoje, aby im przysła z ich strony pomoc, podpierając dusze i rozświecając moralnie drogi ich życia? ... zakończy wielebna matka Paulina.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Wystawa konkursowa** Warszawskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych nie przedstawia się bogato. Pierwszą nagrodą w dziale malarskim otrzymała Anna Bilińska z Paryża, za portret; drugą Wojciech Gerson za obraz: „Cień królowy Barbary”. Listów pochwalnych udzielono trzy: pierwszy Saulowi Hirsbergowi z Monachium za obraz: „Żydzi na modlitwie”; drugi Wł. Ciesielskiemu z Paryża za krajobraz: „Dąb w Fontainebleau”; trzeci Lucyanowi Wędrychowskiemu za obraz: „Kuszenie Ś-go Antoniego.” W dziale rzeźby padła jedna tylko nagroda, pierwsza: otrzymał ją p. Lewandowski za „Sławianina zrywającego pęta.” W dziale budownictwa przyznano dwie nagrody: pierwszą otrzymał Wł. Markoni za projekt gmachu dla gminy izraelskiej w Warszawie; drugą Tołwiński i Dąbrowski z Odessy za projekt szpitala. List pochwalny wziął Jan Hintz za projekt gmachu dla Towarzystwa Sztuk Pięknych.

— **Piękno u domowego ogniska.** Pod tym ty-

tulem napisał p. Kazimierz Kleczkowski, budowniczy, rozprawę, mogącą objąć w druku kilka tysięcy wierszy średniego formatu, a które poświęcone jest estetyce w urządzeniu i przyozdobieniu mieszkań: rzecz niemałego znaczenia w sztuce umilenia sobie życia.

— **Matejko** wykonał projekt wielkiego ołtarza dla katedry na Wawelu, mającej się restaurować. Według tego szkicu krucyfiks królowej Jadwigi ze srebrnym tłem stanowiły środkową, zamkniętą część tryptyku; na skrzydłach malowidła przedstawiające Matkę Boską i Ś-go Jana Chrzciciela, u dołu herby, w górze Chrystus Zmartwychwstający—całość bogato zdobna w posążki i obrazki święte. Professor Odrzywolski wykończył pomiar świątyni i projekt restauracji presbiterium, która ma być najpierw dokonana.

— **Munkaczy**, pracujący nad szkicem malowidła na sufit dla wiedeńskiego muzeum przyrodniczego, które to dzieło zostało mu powierzonym po śmierci Makarta, przedstawi na nim: „Naturę jako matkę i karmicielkę sztuk wszystkich. Szkic ten ma się ukazać na zbliżającej się wiedeńskiej wystawie sztuki.

— **Wiedeńskie Towarzystwo Sztuk Pięknych** wydało w heliominaturze „Dysputę“ Rafaela według znakomitego szkicu Kellera, którego płyta uległa zniszczeniu w czasie pożaru Akademii Sztuki w Düsseldorfie.

— **Wystawa Papiązka** okazała się najbogatszą w dziale Austrii; dalej idą Włochy, Francja i Hiszpania

— **Międzynarodowa Wystawa Sztuki** w Wiedniu zostanie otwarta d. 1-go Marca i trwać będzie do d. 31 Maja. Właściwie międzynarodowa wystawa sztuki tegoczesnej będzie stanowić jeden oddział; drugi, historyczny obejmie dzieła sztuki, które w ciągu ostatnich lat 40 zostały wykonane w Państwie Austriackim i gdzie publiczność spotka się niewątpliwie z Matejką i innymi artystami Szkoły Krakowskiej. Rząd austriacki przeznaczył na zakupy dla państwa w dziale pierwszym 20,000 florenów; tyleż ofiarowała Gmina Wiedeńska na zakupy dla miasta.

— **Dramat Ibsena** „Widma“ przedstawiony w Dreźnie przez trupę Meiningerów w ostatnich dniach ubiegłego roku i cieszący się tam wielkim powodzeniem, został zakazany w Lucernie przez policję.

— **W Uniwersytecie Bolońskim** stała się rzecz niesłychana! Zniknęło z gabinetu fizjologicznego i innych blisko sto okazów, a w muzeum uniwersyteckim okazał się brak wielkiej liczby cennych wyrobów chińskich i broni meksykańskiej. Cudzoziemcy są zamieszani w tę sprawę, wskutek której uciekł jeden z profesorów.

— **W kolegium Francuzkiem** zniesioną została katedra prawa międzynarodowego, na której wykładał niegdyś Pastoret, Jouffroy, Frank. Zniesienie nastąpiło na zasadzie, że przedmiot jest nietegoczesny. W to miejsce otworzoną zostanie katedra doświadczalnej i porównawczej psychologii.

— **Badacz Nowej Gwinei**, Teodor Bevan dostał się w jej głąb i odkrył tam rozległe, zdadne do uprawy przestrzenie żyznych pól, oraz wspaniałe rzeki spławne.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Życie i praca, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa.—Na zwaliskach zamku w Kazimierzu, poezya, przez Antoniego Pideckiego.—Na starym gruncie, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza.—Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego.—Korespondencya zagraniczna, (Wiedeń).—Rozwój fizyczny dziecka, przez Dr J. Starkmana.—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili i podziękowania.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycyja stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Доволено Цензурою.—Варшава, 13 Января 1888 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.